Nr. 50. We Lwowie dnia 11. Grudnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Listy Słowackiego.

Wydanie trzytomowe listów Słowackiego, podjęte przez Księgarnię Polską poprzedza przedmowa pana Leopolda Méyeta, który te listy do druku podał. — Powtarzamy ją w głównych ustępach, jako najlepiej objaśniającą znaczenie tego wydawnictwa.

* * *

Listy Juljusza Słowackiego do matki, rodziny i do różnych osób ukazują się po raz pierwszy w wydaniu zupełnem, z własnoręcznych rękopisów poety. Dotychczasowe wydania „Listów do matki“ uskuteczniane były z odpisów dla tej prostej przyczyny, że nikt nie wiedział, czy są i gdzie znajdować się mogą oryginały.

Pani Bécu poleciła sporządzić dla Karola Szajnochy kopje listów swego syna. Po jej śmierci Szajnocha rękopism ten podarował prof. Antoniemu Małeckiemu, w którego też ręce dostała się później całkowita po Słowackim puścizna literacka. Dostarczył mu jej, według danych mi przez czcigodnego Profesora objaśnień, Teofil Januszewski. wuj poety, mieszkający w Ubieniu, niedaleko Lwowa. W jednym worku mieściły się w nieładzie największym za życia nieznane utwory Słowackiego, które prof. Małecki uporządkował, odczytał i wydał z niepospolitym dla ogółu i literatury naszej pożytkiem.[1]) Jednocześnie owe k o p j e listów do matki posłużyły mu do napisania znakomitej książki o Słowackim, jednej z najpiękniejszych i najpopularniejszych monografji w piśmiennictwie polskiem.[2])

Dzieło to nie wyczerpuje wszystkich szczegółów biograficznych, nie obejmuje mianowicie tych, które nie mogły być prof. Małeckiemu znane, gdyż są dorobkiem zaledwie ostatnich czasów. Można się dziś nawet z autorem w wielu poglądach nie zgadzać, lecz z tym jego sądem wytrawnym i poważnym liczyć się musi każdy sumienny krytyk literacki. Ostatecznie książka prof. Małeckiego, z powodu treściwego wykładu, talentu pisarskiego autora, prostoty i niezwykłego wdzięku w opowiadaniu, jest dotychczas niezastąpioną w literaturze.

Oryginały listów do matki, jak objaśniono wyżej, nie były znane nikomu. Od czasu do czasu pojawiały się w „Warcie“ poznańskiej nieznane utwory Słowackiego i listy jego; nieobjęte zbiorem drukowanym; autografy wszakże tych listów, które się przechowały, znalazły się dopiero po zaszłym we Lwowie w 1891 r. zgonie Wiktora Sobieszczańskiego, przyjaciela rodziny Januszewskich. Dziś są one moją własnością i posłużyły do wydania obecnego zbioru...

Zbiór listów Słowackiego do matki, który rąk moich doszedł, zawiera jeden tylko list z czasów przedemigracyjnych, datowany z Warszawy d. 15. września 1830 r., wszystkie zaś inne pisane są z zagranicy. Z początku były one posyłane wprost do p. Bécu do Krzemieńca, lecz już od d. 6. sierpnia 1821 r. szły prawie zawsze za pośrednictwem znanej firmy bankierskiej Hausner & Violland w Brodach. Blizka odległość tego miasta od Krzemieńca ułatwiała przesyłkę.

Listy do matki zamykają całkowity niemal okres życia poety, od pobytu w Warszawie do listu z d. 4. marca 1849 r., posłanego

[1]) „Pisma pośmiertne“. 3 tomy. Lwów, 1866. Wydanie drugie, znacznie pomnożone. 3 tomy. Lwów, 1885.

[2]) „Juljusz Słowacki“, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki“. 2 tomy Lwów, 1866. Pod tymże tytułem drugie, poprawne i pomnożone wydanie. 3 tomy. Lwów, 1881. — W objaśnieniach moich powołuję się wszędzie na 2-gie wydanie tego dzieła, jako też i „Pism pośmiertnych“.

na miesiąc przed zgonem. Pisane na dużych arkuszach listowego papieru, charakterem zrazu drobnym, lecz pięknym i czytelnym, później coraz większym, przez ciągłość opisu przeróżnych zdarzeń z życia Słowackiego, splatanych szeregiem poufnych zwierzeń serdecznych, stanowią rodzaj autobiografji poety. Dlatego też uważałem za właściwe Listy te uzupełnić poniekąd „Pamiętnikami“ Słowackiego...

Nadto wydanie niniejsze zawiera trzynaście listów Słowackiego niedrukowanych w wydaniach poprzednich, przytem dopiski lub listy Michała Skibickiego, Eglantyny Pattey i innych blizkich poecie osób, oraz krótsze lub dłuższe ustępy z jego listów, dotychczas nieznane lub opuszczone...

Dwa pierwsze tomy tego wydawnictwa zawierają listy do matki i rodziny pisane. Poeta w Krzemieńcu urodził się (d. 23. sierpnia st. st. 1809 r.), z Krzemieńca wyszedł i w Krzemieńcu zostawił wszystko, co mu było bliskie i drogie...

Listy Słowackiego mają nietylko wartość literacko-artystyczną; dla dzisiejszego bowiem i następnego pokolenia pozostaną one godnym naśladowania wzorem tego podniosłego pierwiastku etycznego, który tkwił w duszy wielkich poetów naszych z epoki romantyzmu.

Leopold Méyet.

Galicja w świetle liczb.

Rocznik statystyki Galicji, wydany przez krajowe biuro statystyczne (oddział statystyki przemysłu i handlu) pod kierunkiem Dr. Tadeusza Rutowskiego. Rok V 1894—1897. Lwów. W pierwszej Związkowej drukarni we Lwowie, 1898 r.

Najnowszy rocznik statystyczny krajowy rzuca wiele światła na stosunki gospodarczo-społeczne galicyjskie, zwłaszcza, że obejmuje zwykle dziesięciolecia, i także dłuższe okresy czasu. — Dział pierwszy — obejmuje jak zwykle statystykę ludnościową (wraz z sanitarną), następnie mamy statystykę oświaty, statystykę prasy i stowarzyszeń; wreszcie — najwięcej miejsca zajmuje istotna statystyka gospodarcza, obejmująca własność nieruchomą, rolnictwo, górnictwo, przemysł, komunikacje i handel. W ścisłym związku z statystyką gospodarczą pozostaje statystyka finansowa („Kredyt, instytucje finansowe“), a dział XV. „Galicja w budżecie państwa od 1878—1897“ jest nader ważny także ze względów czysto politycznych — wobec narzekań niemieckich, że kraj nasz jest jakoby pieszczonem dzieckiem każdego rządu. Cały rocznik przedstawia się jako szereg tabel liczbowych bez tekstu, a więc tak samo, jak roczniki dawniejsze; tabele są oryginalne z wyjątkiem kilku, przedrukowanych z innych publikacji statystycznych, o ile mianowicie w nich znajdował się materjał galicyjski. Obliczenia procentowe wszędzie uwzględnione, co — jak wiadomo — nadzwyczaj ułatwia korzystanie z rocznika.

Galicja zajmuje pierwsze miejsce w monarchji pod względem obszaru i zaludnienia — ma 78.496·84 □ klm.; mieszka w kraju 6,607.816 m. z przewyżką kobiet stosunkowo niewielką (według spisu ludności z r. 1890). Średni przyrost roczny ludności od r. 1880 wynosi 1.08% i zajmuje trzecie miejsce w stosunku do innych krajów monarchji. Przeciętna gęstość zaludnienia 87 m. na 1 □ km. równa się Pobrzeżu i w stosunku do innych krajów zajmuje 6 miejsce. Zważywszy, że średnia gęstość ludności w Przedlitawji wynosi 80 m. na 1 □ klm., widzimy, że Galicja średnią tę o 7 m. przewyższa.

Wogóle tedy bezwzględny i względny stan ludnościowy w Galicji jest tak wysoki, że przewyższa kraje, znacznie więcej ekonomicznie rozwinięte.

Wyznaniowo należy ludność Galicji przeważnie do obrządku rzym. katol. (45.4%); drugie miejsce z nieznaczną stosunkowo zniżką zajmuje obrządek grecko katol. (42.3%). Na wyznanie mojżeszowe wypada 11·7%, a na protostantów i wyznania inne razem tylko 0.6%. Znaną jest rzeczą, że ludność wyznania mojżeszowego i wyznań innych zalicza się językowo en gros do narodowości polskiej; to też Polaków mamy 53·34%, Rusinów zaś tylko 43·10%, ponadto 3·46% m. przyznaje się do narodowości niemieckiej. Największa przewyżka ludności polskiej narodowościowo w stosunku do wyznania rzym. katol. przypada na miasta, mniejsza na miasteczka, a najmniejsza na wsie. Ważną jest rzeczą, że w przewyżkach tych mieści się ta-

kże część Rusinów. Widać to z tego, że po miastach ludność grecko katol. wykazuje o 4·5% więcej głów, aniżeli pod względem narodowościowym i przewyżka taka wyznania nad ruską narodowością istnieje nawet po wsiach, acz bardzo mała (1%), — naodwrót jednak — miasteczka są w Galicji niejako ogniskami powolnej rusyfikacji, albowiem widzimy w nich nadwyżkę 5% Rusinów ponad wyznaniem grecko katol. Miasta są w całym kraju przeważnie polskie — po wsiach widocznie nadają piętno polskie obszary dworskie, podczas gdy po miasteczkach osiada coraz liczniejsza inteligencja biurokratyczna ruska i wpływa stopniowo na ich stan narodowościowy.

Pod względem ogólnego poziomu oświaty da się Galicja co do liczby analfabetów porównać tylko z Bukowiną i Dalmacją, które jesze wyższy procent analfabetów wykazują. U nas mamy 64·87% analfabetów i 71·60% analfabetek; przewyżka kobiet jest regułą także we wszystkich innych krajach austrjackich.

Po Dalmacji jest Galicja najbardziej rolniczym krajem Austrji i stoi obok Bukowiny; przemysłowo Bukowina stoi natomiast nieco wyżej, a niżej tylko Dalmacja. Ludność, zajęta u nas w handlu i komunikacji, przewyższa ilościowo nie tylko Bukowinę i Dalmację, ale także kraje alpejskie. Na 10000 m. mamy mianowicie u nas 8.388 m. zajętych w rolnictwie, 626 w przemyśle i 499 w handlu i komunikacji. Osławione przeludnienie kraju inteligencją biurokratyczną i pracującą w t. zw. zawodach liberalnych; owa względna „hyperprodukcja inteligencji“ okazuje się liczbowo w porównaniu z innymi krajami monarchji — prostym mitem. Ludzi, zajętych u nas w służbie publicznej i zawodach liberalnych — wypada na 10000 mieszkańców 487, co dorównuje tylko Dalmacji, a ustępuje już wobec Bukowiny (518 m.) W najbardziej ekonomicznie rozwiniętym kraju austrjackim, tj. w Dolnej Austrji widzimy na 10000 m., 1382, pracujących po biurach i kancelarjach prywatnych. Wogóle okazuje się, że wzrost inteligencji biurokratycznej i pracującej w zawodach liberalnych stoi dzisiaj w Austrji w prostym stosunku do rozwoju ekonomicznego krajów; czyli, że nasza względna „hyperprodukcja inteligencji“ byłaby w razie szybkich postępów gospodarczych — niedoborem inteligencji — iż się tak wyrażę — biurowej. Narzekania na „hyperprodukcję inteligencji“ w Galicji są — naodwrót — dowodem, że wzrost ten przewyższa rozwój gospodarczy kraju. W tym powolnym rozwoju ekonomicznym tkwi bez kwestji w znacznej części inny fakt znamienny: oto wzrost liczby samobójców. W latach 1881—90 mamy ich 9·44%, w latach zaś 1884—93, 9·71%.

Z statystyki oświaty zwracają na się specjalną uwagę następujące fakty: Uniwersytet we Lwowie wykazuje w całym okresie czasu od r. 1851 do 1896 ogólny wzrost liczby profesorów i słuchaczów. Na teologji wzrost ten objawia się najbardziej w latach 1885—1892; od r. 1893 następuje powolna degressja. Na prawach widać stały, nieprzerwany nigdy wzrost aż do r. 1896 włącznie. Medycyna wykazuje liczne wahania przyrostu i ubytku; ostatnie lata wykazują ubytek. Na wydziale filozoficznym wzrost najwyższy obejmuje lata 1891—1893; odtąd następuje stały ubytek. Obok praw — wzrost systematyczny do r. 1896 włącznie wykazuje tylko politechnika, a przedewszystkiem dział inżynierski. Obrazek ten liczbowy jest jeszcze jednym dowodem na to, że wybór zawodów uniwersyteckich kieruje się po prostu stosunkiem podaży i popytu; fakt, że medycyna i filozofja wywierają w ostatnich latach mniejszą siłę atrakcyjną na słuchaczów — nie można nazwać pocieszającym ani dla stosunków zdrowotnych, ani dla oświaty w kraju. W szkołach średnich widocznym jest wzrost liczby uczniów przy znacznie powolniejszym wzroście liczby nauczycieli; z faktu tego wypływa — jak wiadomo — brak sił nauczycielskich. Gorszy objaw widoczny jest w szkolnictwie ludowem mianowicie systematyczny wzrost liczby szkół nieczynnych. W r. 1895/6 szkół czynnych istniało 3.672 obok 479 nieczynnych t. j. 11·7% szkół nieczynnych w stosunku do ogółu szkół.

Z statystyki gospodarczej „par excellence“ widzimy: W rolnictwie największy procent ogółu roli uprawnej wypada na żyto; następnie w stosunku wzrastającym idą: owies, kartofle, pszenica, jęczmień, konicz, (nasienie), konicz (siano), a na najniższych pozycjach widzimy tytoń i chmiel.

W stosunku do własności ziemskiej widzimy, że wielka własność uprawia najwięcej pszenicy; następnie idą: jęczmień, owies i żyto; własność mała uprawia przeciwnie najwięcej żyta, a pszenicy najmniej. Jestto przyczynek do ogólnego objawu społecznego, że wielka własność ziemska produkuje przeważnie kapitalistycznie — na zbyt; mała zaś jeszcze ciągle trzyma się e n g r o s produkcji naturalnej — dla siebie. Jakoż średnia cena pszenicy za lata 1887—96 jest po rzepaku najwyższą (5·66), podczas gdy żyto zajmuje dopiero 6-te miejsce z kolei (4·08). Na rolnicze melioracje wypłacono od r. 1885—95 z funduszu krajow. razem 4,859.810; szkoda, że rocznik nie wykazuje rozdziału tej kwoty pokaźnej na własność wielką i — małą.

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. K. J. Gorzycki.

Syn Majora.

(Studjum z natury.)

Dalszy ciąg.

Mimo doznanego zawodu był uspokojony. Rok cały w domu przesiedzi, będzie się uczył przy nauczycielu, a może uda mu się w ciągu jednej zimy przerzucić szkolne dwa lata i na następny rok przejść odrazu do szóstej. Zwalczenie trudności uczyniło go bardziej pewnym swych sił, nadało mu pewną wartość w swych oczach; odcień szlachetnej dumy podniósł mu piękne czoło do góry.

Korzystał z jesiennych wakacji nietylko z całem oddaniem się roskoszom wsi, ale nadto z pewnem rzewnem do niej przywiązaniem.

— Bardzo lubię wieś — mówił mi z rodzajem rozrzewnienia — na wsi można widzieć wszystko, co robi przyroda, na wsi jest spokojniej, można więcej myśleć, można być lepszym.

Obok polowania i rybołóstwa, namiętnością jego była muzyka. Wziął to po ojcu, tylko jak wnoszę, w innym stylu ją pojmował. Nieraz łzy mu zakręciły się w oczach, jeśli na długie jego prośby, aby zagrała, otrzymywał od matki przeczącą odpowiedź. Jeśli Jaś był przytem, to kończyło się zwykle, iż wśród pocałunków, żartów i śmiechu, brał ów olbrzym swoją malutką mateczkę za ramiona, prowadził, niósł ją niemal do fortepjanu, usadzał na krześle i ta, naturalnie rozrzewniona do ostatnich granic, natychmiast grać zaczynała. Wprawdzie Jaś w następnej chwili za plecami grającej rozpoczynał zawzięty flirt lub przekomarzanie się z którą z panien, głusząc nieraz grę matki wybuchami śmiechu, ale Józio był szczęśliwy. Wsuwał się w kącik za fortepjan, siadał na krześle, ręce na kolanach zakładał — i Bóg wie kędy już bujał w rzewnem rozmarzeniu.

Po za muzyką miał jeszcze jedno upodobanie: lubił izbę czeladną. Lubił ją o wiele więcej, niż salon. Z leśnikiem, ze starym furmanem przepędzał całe godziny na gawędzie. Później dowiedziałem się, co było treścią tych posiedzeń.

Zimą, kiedy nas wszystkich pochłonęło już miasto, straciłam Józia z oczu. Spotkaliśmy się zaledwo na święta Bożego Narodzenia. Przyszedł z matką późnym wieczorem. Wyrósł znacznie i zmężniał, wydał mi się jednak jakiś wypłoszony, jakiś nie swój, chwilami wygląd miał taki, jakby chciał schować się z głową w kołnierzu swego mundurka, z którego najstaranniej odpruł wszystkie gimnazjalne oznaki.

Przy końcu wieczora zeszła rozmowa na piśmiennictwo u nas i w Galicji. Byłam niedawno z Krakowa, mogłam więc niejakich wiadomości udzielić pod tym względem tym, kogo to interesować mogło. Paru petersburskich studentów przysunęło bliżej swoje krzesełka — poczęto mię wypytywać o galicyjskie stosunki.

Galicja posiada dla nas taki urok, jak dla pobożnych dusz chrześcijańskich Palestyna.

Chciwie porywamy wszelką stamtąd pamiątkę bacznie nasłuchujemy każdego odgłosu, a druk wszelaki, noszący markę galicyjskiej drukarni, wzbudza w nas uczucie świętego relikwiarza.

Ci, którzy wylewają tu nieraz strumienie atramentu z pobudek osobistych ambicji, gdzie tak często drukarską farbą toczą się zajadłe boje przekonań i sympatji, podszytych zbyt widocznie prywatnemi sprawami, gdzie tyle czczej rozchodzi się gadaniny, gdzie tak bałamuci się opinję publiczną — tu, mówię, zgoła nie przeczuwają, czem ów listek zadrukowanej bibuły staje się w ręku Litwina, pozbawionego prawa wypowiadania swych myśli. Ten kiepski papier, ten druk pełen zecerskich błędów, mają dla niego zapach swobody, wolnej myśli, bije zeń narkotyczna woń nadziei, przedsmaku błogosławionej jak królestwo niebieskie przyszłości. Litwin taką gazetę, często wykrawek z gazety, przemycany przez ofiarnego śmiałka, na piersiach jak świętość ukrywany — taki druk gdy Litwin do rąk dostanie, wpierw przygląda się mu, w palcach waży, okiem lubuje się, aż gdy z głębin, może nieraz jemu samemu nieznanych, podniesie się jakieś echo bolesne i mgłą powlecze mu źrenicę, wówczas opanowując rąk drżenie, czytać pocznie. I nie znajdzie w skrawku tym słowa, któremu można byłoby zaprzeczyć; wszystko, co tu jest drukowane, ma tam wagę przykazania. „To i owo piszą w Galicji, tak i owak zrobili w Galicji, tego oczekują, w to wierzą Galicjanie“, podają sobie wówczas szeptem Litwini i czegoś nasłuchują, czegoś się spodziewają, w coś wierzyć zaczynają. O, błogosławione druki, o, skromne świstki gazeciarskie, szkoda, że nie wiecie, jakim wjatykiem jesteście dla tych, co w gnieździe własnem, w obrębie prawowitej Ojczyzny swej siedząc, spodziewać się, wierzyć, ani kochać ziemi swej prawa nie mają!

Kiedy tak jest ze starymi, co wiele upadłych nadziei przeżyli, cóż mówić o młodzieży, o tej szlachetnej litewskiej młodzi, rok rocznie nieposłuszne głowy na ofiarę bóstwu swych ojców składającej?

Lecz — cicho! Te ofiary liczy tylko car — i Bóg, na onemiałej Litwie cień tylko po nich kładnie się w rodzinach — cień gruby, cichy...

Gdyśmy czas jakiś na pochłaniającej nas rozmowie spędzili, zauważyłam nagle stojącego

za kresłem studenta Józka. Bystro wpatrywał się we mnie i na twarzy jego ujrzałam znów ów wyraz żywej inteligencji, który czynił twarz tę tak pociągającą. Odwróciłam uwagę, aby go nie spłoszyć, zanotowałam sobie jednak tę chwilę. Przy odejściu gości zbliżyłam się do niego z zapytaniem, czy nie braknie mu książek, czy nie chciałby czego przeczytać?

— I owszem, prosiłbym panią... jeśli pani coś ma takiego... z Galicji.

Na nieszczęście bardzo nie wielki miałam zapas.

A jakże prędko mi to zwrócił! Za parę dni przybiegł o zmroku, szczelnie otulony wysokim kołnierzem paltota.

— O, naturalnie, przeczytałem wszystko! — odpowiedział na moje pytanie.

— A czy nie ma pani co więcej? może jaką gazetę, choćby i dawniejszą?

I odtąd zabiegał do mnie od czasu do czasu, zawsze spiesząc, na chwilę, zawsze o zmroku, zanim jeszcze latarnie na ulicach zapalą. To prosił książek, to wprost na parę słów gawędki. Zadawał przytem pytania, nieodmiennie zaczynające się od słów: „Więc pani mówi, że w Galicji...“

I mówiliśmy o galicyjskiem życiu, o galicyjskich drukach, o galicyjskich uroczystościach.

Raz wręczając mu książkę, zrobiłam uwagę, aby w każdym razie zachował ścisłą ostrożność.

— Ej, niema obawy! mam ja w domu skrytkę, której żadne oko nie wyśledzi, nawet ojciec.

— Więc już nie pierwszy raz?

Uśmiechnął się rozpromieniony; miał jakieś słowo na ustach, lecz powstrzymywał się z niem.

Więc tak stoją rzeczy? Ten czwartoklasista, ten cichy, dziki chłopak, ten syn „wiernopoddańczego“ majora, w którego domu żadne echo nie śmiało zaszemrać o przeszłości, żaden głos nie wołał do przyszłości, gdzie nawet mowę rodzoną jedynie w pokoszlawionych dźwiękach się słyszało — i ten już konspirator?

Patrzyłam na niego zdumiona.

Kędy, jakiemi drogami przenikał tu promień niespożytego ducha narodu? jak zdołał przebić nieprzeniknioną, zda się, warstwę służalczości, rutyny, zakucia? I co za ręka posiała to ziarno, które żywe leżało pod tą warstwą spleśniałą, a za pierwszem dotknięciem promienia poruszyło się i silnie pęd swój gnało? Byłaż to owa tajemnicza praca przeszłych pokoleń, która w niewidoczny sposób kładzie zasoby życia w jestestwa i później niespodziewanie żyć im rozkazuje? Czy może ozwała się tu natura matki, przekładająca rzeczy niepoziome nad utylitarność codziennego żywota, i przemówiła w tej formie?

Albo może wypada nam wierzyć, iż powietrze nasze przesiąkłe jest tchnieniem dawnych błogosławieństw, dawnych swobód a bolów dzisiejszych, iż tu pragnieniem zwycięskiej przyszłości drży każdy atom prężącej nad nami ciszy, i dość, aby dusza młoda rozchyliła pąk swej myśli, wnet w nią wsiąka ów dziwny powiew naszych niebiosów?

Nie chciałam wprost dopytywać się Józka, aby jego tajemnicy na szwank wielomówności nie narazić; wolałam zaczekać, aż mi ją sam dobrowolnie odkryje.

Aż chwila szczerej spowiedzi nadeszła.

Pamiętam, jednego wieczoru wszyscy z domu wyszli do teatru, ja jedna pozostałam. Na dworze spochmurniało i śnieg począł padać bujnemi płatkami, na ulicy latarnie ścmiły się nieledwie zupełnie, nie było widać przechodniów, z rzadka tylko ze spiesznie bijącym dzwonkiem przemknęły saneczki, unosząc otulonego w futra jeźdźca.

Zapaliłam lampę i przy domowym szumie samowaru, mając przed sobą filiżankę ciepłej, wonnej herbaty, zasunęłam się w krzesło z książką w ręku. Było mi ogromnie dobrze w tej wielkiej ciszy domu, wieczoru i miasta. Naraz po przez firanki dostrzegłam cień szybko przebiegającej postaci; w następnej chwili dało się słyszeć energiczne szarpnięcie dzwonka.

— Otóż mój wieczór samotny! — pomyślałam z żalem, gdy wszakże dolatujący głos z przedpokoju sprawił wrażenie przyjemnej niespodzianki.

— Jestem, przyjmę i bardzom rada! — zawołałam na pytania, dawane służącej, która drzwi od ulicy otwarła.

Wbiegł Józek. Gwiazdki śniegu lśniły mu jeszcze na skroniach, zwieszały się na brwiach; ręce miał niemiłosiernie czerwone, a policzki pałały świeżym, zdrowym rumieńcem. Wpadła za nim fala świeżego, mroźnego powietrza i jakiś powiew energji, dziarskości życia. Rzadko go takim widziałam, a młodości tak do twarzy z energją i życiem.

— Pani sama? To dobrze! — zawołał, po przywitaniu zabierając miejsce przy stole.

— Nie będzie ci nudno ze mną?

— Wcale nie! Częściej się nudzę z temi paniami (mówił o mojem towarzystwie), bo co ja mam mówić z niemi?

— A cóż ze mną?

— Pani co innego, pani takie ciekawe rzeczy opowiada, z panią mówię co myślę i co chcę, jakby z kolegą.

Zmieszał się mocno tem porównaniem, co widząc pospieszyłam odwrócić rozmowę. Zaczęłam wypytywać o dom, o matkę, o jego prace. Gdyśmy te sprawy wyczerpali, spytałam dlaczego tak rzadko do nas przychodzi? Zbiera się u nas młodzież i mógłby przyjemnie czas spędzić.

— Ja to wiem, — odrzekł zwolna, zakłopotany znowu — ale... ja bo nigdzie nie wy-

chodzę; czasem ot tylko, późnym wieczorem, do pani na chwilkę.

(Dokończenie nastąpi.)

Wanda Dalecka.

LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Dokończenie.)

Zaczęli grać „Bibińskiego“.

Leon grał bardzo dobrze, bo go podrażniły brawa, jakie dostał na wejście, i to, że ona z nim grała.

W scenie pogodzenia się z żoną, był tak słodkim, tak gorąco akcentował miłość, tak doskonale grał, że za kulisami wywołał zdumienie.

— To specjał, to rzepa pieczona taki aktor! — wołał Kos z zachwytem niemal.

— Tak... Każdy samczyk przed swoją samiczką wie jak się zachwalać, tak...

Skończyli Bibińskiego przy wielkich brawach i wywoływaniach, ale Zakrzewski się uparł i za nic w świecie wyjść nie chciał, publiczność również ustąpić nie chciała i wołała go coraz burzliwiej. Wreszcie Lili przyszła do niego z niemą prośbą w oczach, uległ, ujął ją za rękę i wyszedł się kłaniać. — Ostatni raz, wszystko już mi jedno — myślał i pocałował Lili w rękę przy otwartej scenie.

Ale gdy portjery się zasunęły i brawa zamilkły, nie zważał, że dziewczyna stoi w kulisie i czeka na niego, z takiem drżeniem, że trzymać się musiała ściany, ze łzami w oczach i z jakiemś słowem na ustach, ciągnęła go oczami, — śpiesznie poszedł do garderoby i przebrał się do drugiej sztuki, a potem siedział za tylną kurtyną, w ciemnem i ciasnem przejściu, gdzie mu Szałkowska przeczesywała włosy i zróżowiała twarz, bo blady był jak płótno.

W antrakcie, za kulisy wdarło się kilkunastu wielbicieli teatru, a z nimi i za nimi przypłynęły zaraz ciastka, cukierki, koniaki i krążyły wśród gwaru i śmiechów po scenie i garderobie.

Aktorzy robili dowcipy, bo działy zapowiadały się świetnie, a młodzi, prowincjonalni wielbiciele ze wzruszeniem zaglądali do garderób i otoczyli wieńcem Lili, którą obległ hrabia, dawny, cichy wielbiciel, i szczerzył do niej cały nowy garnitur zębów, szeptał po cichu i całował po rękach, czego mu nawet nie broniła, nie wiedząc, co się z nią dzieje, ale gdy spostrzegła wzrok Zakrzewskiego z nienawiścią utkwiony w hrabiego, wielka radość ją oprzytomniła.

W „Folwarku“ Leon grał również dobrze, jak i w pierwszej sztuce, bo miotała nim miłość, nienawiść i zazdrość, to właśnie, co było i w roli Dżemsa, a co oddawał na scenie z taką siłą, że dreszcz przeszedł publiczność, gdy z widłami rzucił się za księciem, który uciekł w kulisę, gdzie stał hrabia z Szałkowską i przez monokl patrzył na scenę. Cofnął się spiesznie, bo go przestraszyła twarz Zakrzewskiego.

Po przedstawieniu obywatelska młodzież wyprawiła huczną kolację całemu towarzystwu, które bibę przyjęło skwapliwie.

Zakrzewski namyślał się długo czy iść. — Pragnął zobaczyć ostatni raz Lili i postanowił raz jeszcze prosić, aby z nim wyjechała.

Konie już czekały na niego przed hotelem, kazał furmanowi dać kolację, przebrał się do podróży, pozałatwiał ostatnie interesa i dopiero poszedł, nie mówiąc nikomu, że wyjeżdża natychmiast.

Kolacja, jak wszystkie tego rodzaju, miała jeden szemat: pić, krzyczeć, i raz jeszcze pić i raz jeszcze krzyczeć.

Gdy przyszedł, nikt go nie zauważył, bo temperatura w sali była już mocno szlachecką. Kilkadziesiąt osób obsiadło wielki stół i piło, krzyczało, wznosiło ustawicznie zdrowia, sypało dwuznacznikami, umizgało się do aktorek. Gwar zalewał salę nierozplątany. Śmiechy przewalały się całą falą, przygłuszając co chwila fałszywe tony muzyki, specjalnie sprowadzonej, która grała w sąsiednim pokoju.

Znalazł miejsce naprzeciw Lili, przy której siedział hrabia, z ramieniem opartem o jej krzesło, nie poznał jej prawie; była w nadzwyczajnym humorze, piła szampana, którego jej ustawicznie dolewał hrabia; śmiała się całą piersią i tak swobodnie rozmawiała, rzucała takie race dowcipów i uwag złośliwych, że aż hrabia się rozrehotał, wykrzywiał z zadowolenia swoje sztuczne szczęki, i co chwila wrzucał monokl w oko i coraz bliżej przyglądał się jej odsłoniętym ramionom. Bawiła się tak hałaśliwie, bo była napół przytomną; ale gdy zobaczyła Zakrzewskiego, gdy spojrzała w jego głębokie oczy, smutnie patrzące, przycichła nagle, okryła ramiona zarzutką i szukała oczami matki, dając jej znaki do wyjścia. Leon siedział w zupełnem milczeniu, był dalekim od tych gwarów i śmiechów, co jak burza huczały do koła, przyglądał się z pogardą twarzom obecnych, z pogardą, na której dnie tkwił głęboki, nieuleczalny smutek; wrzawa, toasty i mowy okolicznościowe, brzęk rozbijanego szkła obijały się tylko o jego mózg, jak szum daleki i głuchy.

Siadła przy nim Szałkowska i zaczęła opowiadać rozmaite rzeczy i ściskać mu ręce ; ale jej nie słuchał, a spostrzegłszy na zegarze, że już czas odjeżdżać, podniósł się, spojrzał po wszystkich i szedł wolno do drzwi, a ująwszy za klamkę, odwrócił głowę i spotkał oczy Lili, patrzące z przerażeniem.

Podniosła się i, jakby pociągnięta jego oczami, chciała iść ku niemu.

Spostrzegł ten ruch, ale wyszedł.

Na werandzie letniej, przez którą schodziło się do ogródka, a następnie na ulicę, zatrzymał się i w blasku latarni, świecącej przy drzwiach, napisał na bilecie: „Wyjdź na jedno słowo, błagam na wszystko, wyjdź“.

Garsonowi zalecił, aby ten bilet oddał, o ile można, bez zwrócenia uwagi.

Pozapinał palto, postawił kołnierz, bo mróz był potężny, i oparty o drewnianą balustradę czekał. Był na zewnątrz zupełnie spokojny, ręce mu tylko drżały nieco, a serce biło mocno, bardzo mocno.

Od okien hotelu i sieni buchały od czasu do czasu fale pijackiej wrzawy i rozpływały się w powietrzu mroźnem.

Patrzył w roziskrzone gwiazdami niebo, a myśli jego rozpierzchłe leciały, jak ptaki porwane burzą, leciały bez celu i pamięci, leciały w otchłań tej cichej nocy, pełnej skrzeń tajemniczych i grozy pustyń śnieżnych.

— Ptaszek mój uciekł mi, nie mam już przyjaciela...

Zabrzmiał głos Lili w głębi sieni. Odwrócił się szybko.

Stała w progu, w smudze brudnego naftowego światła i szukała go oczami w cieniu werandy.

— Chciałem cię zobaczyć jeszcze, bo zaraz wyjeżdżam. — Przycisnął jej rękę do ust.

— Wyjeżdżasz?... Naprawdę wyjeżdżasz? Zaraz?—W głosie jej zadrgał przestrach i zdumienie.

— Tak, wyjeżdżam natychmiast. Konie czekają... Jedź ze mną Lili, jedź ze mną, najdroższa! — Wybuchnął gwałtownie, obejmując ją ramionami. — Kocham cię, jedź, bo jużbym cię nigdy nie zobaczył... nigdy... jedź ze mną...

Błagał rozpaczliwie, gorączkowo.

Wysunęła mu się z ramion i cicho a mocno powiedziała.

— Nie... nigdy... nie mogę.

— Dlaczego? — rzucił gwałtownie.

— Nie... kocham pana! — wydusiła wolno, wyraźnie akcentowała każde słowo, chwytając się równocześnie balustrady, aby nie upaść.

— I nie kochałaś mnie nigdy, bo miałaś kochanka, bo masz go i teraz! — zawołał chrapliwie.

— Miałam kochanka... mam i teraz kochanka, mam.

Głos się jej złamał, zabrakło jej dźwięków, patrzyła błędnie na łby końskie, wychylające się z za sztachet ogródka.

— I mówisz to mnie, mnie! — krzyknął rzucając się do niej, aż się cofnęła bezwiednie na krawędź schodów.

— Ty masz kochanka, ty, którą tak kochałem, którą chciałem nazwać moją żoną, do której przez całe miesiące modliłem się, jak do świętej, której nie śmiałem nieraz całować; dla ciebie przecież poświęciłem dom, rodzinę, szczęście całego życia może, dla ciebie. A ty masz kochanka, a tyś mnie oszukiwała przez tyle miesięcy! Od mojej czystej miłości szłaś prosto w ramiona rozpusty, do kochanków!... I dlaczego? Dlaczegoś mnie tak okłamywała? Dlaczegoś złamała mi życie?—krzyknął rozszalały boleścią i trzymane w ręku rękawiczki rzucił jej w twarz.

Cofnęła się przed tym ruchem bezwiednie w tył i runęła głową naprzód, po twardych kamiennych schodach na chodnik.

Przeszedł obok niej, wsiadł w sanki i odjechał.

Oprzytomniała po jakimś czasie, zwlokła się na kolana i czepiając się poręczy schodów, wyciągała ręce za odjeżdżającym i wołała ku coraz cichszym i dalszym dźwiękom dzwonków, krótko... rozpaczliwie... nieprzytomnie.

— Lwie mój! kocham cię! Zabij mnie, a nie opuszczaj! Panie mój, kocham cię!

Z trudem wróciła do sieni, ale taki straszny, bezbrzeżny ból ją łamał, tak się w niej okropnie wszystko rwało, tak jej serce pękało z niezmiernego żalu, rozpaczy, niemocy, że traciła chwilami przytomność, nie mogła już płakać, nie mogła nawet krzyczeć, nie mogła już myśleć; wszystko się z nią kręciło i zapadało w czarną, przerażającą głuszę opuszczenia i śmierci.

Znalazła się w jakimś ciemnym, pustym pokoju i tam opadły ją resztki sił, upadła na podłogę z krzykiem bezprzytomnym i przez łzy, przez rozdzierające łkania, przez straszny ból, przez całą nędzę złamanego i rozbitego serca wołała cicho, boleśnie, umierająco :

— O Lwie mój jedyny! Ratuj mnie, nie opuszczaj!... O Boże mój, za co ja tyle cierpię. O Boże...

Zemdlała.

15)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Oto podchodzi, z niezrównanem mistrzowstwem nogę za nogą stawia; uszka nastawione słyszą daleko, daleko; nos naprzód wytknięty ima wonie z takiej odległości, na jaką powietrze może ją przenosić: gdy nikt nie czuje, on jeszcze zwęszy; oczy jego świecą ogniem, a dusza cała ześrodkowała się w pożądliwości smaku. Lis Kita, najsłynniejszy tu myśliwy! Przyczaił się do ziemi, idzie, pełza bez szelestu. Tylko para oczu świeci, jak dwa robaczki świętojańskie na murawie.

Spostrzegł go już szarak, także nie w ciemię bity, dobrze świadom, jak i kiedy wynosić się z kotliny. Opuścił swe legowisko tak cicho i lekko, jak gdyby stąd odlatywał na skrzydłach motyla; liść mu pod nogą nie zaszeleścił, gałązki krzewów usuwały się przed nim, niby przed marą bez ciała. On się chyba przeobraził w ten szum boru, zlał się w jedno z ciszą i utonął w mrokach zagajników... Jak gdyby w czapce-niewidymce, uszedł po za krąg zasadzki, biegł chyba w jakichś puchowych trzewikach niesłyszalności. Potem już dopiero, zwykłym zajęczym obyczajem, z całej siły uderzył w skoki. Gnał, sadził susy przez krzaki polanek, byle wypaść na pola, gdzie go już wszyscy djabli ścigać mogą.

W tem nagle „tarach, tarach“ — dwa echa piorunów rozsypały się po boru straszliwym odgłosem. Zatoczył się zając, wywrócił dwa kozły i przez chwilę myślał, że nie żyje. Ee, kto ma wisieć, nie utonie!... Tylko dwa ziarnka ołowiu oparły się o jego żebra, przyczyna późniejszego darcia na słotę. Prędko się zerwał z upadku i poszedł, a, ma się rozumieć, nie folgował skokom.

To kłusownik Tetera strzelał do niego z dubeltówki, pożyczonej od Malwy, no i nie spudłował. Na to się trzeba w czepku urodzić, żeby być pod lufą Tetery, a unieść duszę w ciele.

Farba ciekła z rany, zając mimo to, wyciągał nogi, pędził na bagna, trzęsawiska, ażeby w miejscu niedostępnem rany zagoić lub wyzionąć ducha. Ciężki wypadek z dziejów jego strasznego roku!

Spał jeszcze nasz szarak na mokradłach, a tu wczesnym rankiem Chylecki, felczer, właśnie się wybrał na dubelty i wziął z sobą Trezora, starego wyżła, który, jak wiemy, był ślepy i pozbawiony węchu. Nikt nie mógł odkryć, dlaczego Trezor stawał do szemrzącego strumyka, jak gdyby wystawiał kuropatwę, dopiero szafarz morzelański dowiódł, że pies wyżeł, posługujący się jedynie słuchem, robi tu, co może. Z tego powodu pan Kacper nazwał Trezora muzykiem.

— Bestja, ma słuch! Jemu na koncerty chodzić, nie na polowanie!

Są to słowa, wyjęte z ust pana szafarza.

Otóż, Chylecki narobił po bagnach ogromnego zgiełku: pewnie z pięćdziesiąt strzałów padło, a nie zginął ani jeden dubelt. Wyżeł słyszał ciągle grzmiące huki strzelby, jak szalony rzucał się na wszystkie strony i w tych zapędach swoich niejednokrotnie podbiegł był do kotliny ranionego szaraka; ale przecież go nie mógł spostrzedz ani zwęszyć. Zając widział plondrującego Trezora, słyszał huczące wystrzały, myślał, że mu zagraża wielkie niebezpieczeństwo i, mimo dolegliwe rany, wyjechał z kotliny. Chylecki w tej chwili posłał za nim dwa strzały, tak sobie, na wiwat. Kto już tyle razy spudłował, sam niema wiary w celność swego strzału. — Podrzucając w górę białe natyłki, kot wyniósł się z pola, a gdy tutaj nie znalazł miejsca dostatecznie bezpiecznego na kotlinę, znowu zawrócił do tego samego lasu, gdzie wczoraj połknął był niemało strachu.

Na otwartym wzgórku, pod ogromnym pniakiem sosnowym, który wykopano z korzeniami, znalazł sobie nareszcie schronienie. Ale widocznie nie miał chęci przepędzić nocy w lesie i o pierwszym zmierzchu poszedł chwiejnym krokiem w pole, myślałby kto, że on już łazić nie może. Do rana przybywał na koniczysku i tutaj spotkał kilku zajęcy, którym zazdrościł apetytu; one zaś stroniły od odmieńca, pozbawionego obu słuchów. Rasowe uprzedzenia mają początek w świecie zwierzęcym.

Cierpiący, ranny, wzgardzony przez swojaków, poprzestał na skromnej wieczerzy, zakropionej rosą nieba i żółcią własnej niedoli. Jakoś spokojnie cała ta noc przeszła; tylko ruch zaognił widać ranę, gdyż mocno mu dolegała, przypominając, że w chorobie łoże wypoczynku ma główne znaczenie.

Rydwan słoneczny, poprzedzony jutrzenką, zaczynał wjeżdżać na niebo; wrony i gawrony witały go krakaniem, kiedy nasz szarak, zachowując wszelkie środki ostrożności, powracał do kotliny pod pniakiem sosnowym. Teraz snu potrzebował i zasnął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.